

Fragmenty wspomnień Marka Treli



Andrzej Krzysztalowicz. Fot. Zofia Raczkoska.

Jeżeli chodzi o hodowlę, to zacząłem przejmować sposób patrzenia na konie od pana Krzysztalowicza. To nie było w pełni to samo spojrzenie, bo ja też miałem już swoje wcześniej wyrobione gusta, jakiś ideał konia. Hodowla to jest nieustająca konieczność wyboru. Wspaniale byłoby móc kierować się wyłącznie swoim odczuciem tego, co się chce zostawić albo sprzedać. Przyjmijmy, że stadnina ma mieć określoną liczbę klaczy. Ich selekcja nie wygląda w ten sposób, że ta mi się nie podoba, to ją wyrzucam, a tę, która jest wysokiej jakości, zostawiam. To byłoby zbyt proste. Tutaj jest potrzebny kompromis między interesem hodowli, czyli jakością koni, a interesem stadniny, która musi się utrzymać.

Te cele wykluczają się na krótką metę, ale na dłuższą są jak najbardziej zbieżne. Jednak aby to rozumieć i podejmować odpowiednie decyzje, hodowca i ekonomista muszą być jedną osobą. Wtedy nikt mi jako hodowcy nie powie, że pieniądze na koniec roku muszą być takie a takie, bo on mi zaplanował trzy miliony i tyle mam wypracować. Sam sobie nie wydam polecenia, żebym osiągnął określony przychód za wszelką cenę tylko dlatego, że inaczej ucierpi plan finansowy firmy. Taką ceną byłaby sprzedaż najlepszych koni.

To jest w zasadzie kwintesencja polskiej filozofii hodowlanej, żeby mieć jak najbardziej wyselekcjonowane, jak najwyższej jakości klacze stadne i ciągle poszukiwać świeżej krwi, nie doprowadzać do zbytowego spokrewnienia. Ciągle szukać różnych ogierów, które by z tymi klaczami mogły dać dobre potomstwo. W Polsce od początku się o to starano. Tak było najwygodniej i w ten sposób najszybciej można osiągnąć postęp hodowlany. Bo klacz rodzi jednego źrebaka rocznie,

natomiast ogier może być ojcem setki potomstwa. A więc jego wpływ na hodowlę jest ogromny. Wystarczy jeden reproduktor w stadninie. Jeżeli jest dobry, wprowadza ją na wyższy poziom. I stara polska zasada polegała na tym, że to ogiery sprowadzało się z pustyni. Wyprawy rzadko przywoziły klacze.

Niektórzy nie rozumieli, jaka jest misja hodowli państwowej. Dlaczego na przykład nie można tanio udostępnić najlepszych ogierów i to dla każdej klaczy. Hodowcy zwykle wydaje się, że jego „dzieci” są najpiękniejsze. A właśnie po to też jeździ się na przeglądy i pokazy, żeby przez sędziowanie nabrać większego obiektywizmu do tego, co się samemu robi i co osiągnęli inni. Państwowe stadniny istnieją również po to, aby hodowla prywatna była jak najlepsza. Nikt nigdy nie odmawiał rady czy pomocy, choć nie zawsze było to, co ktoś chciał usłyszeć.

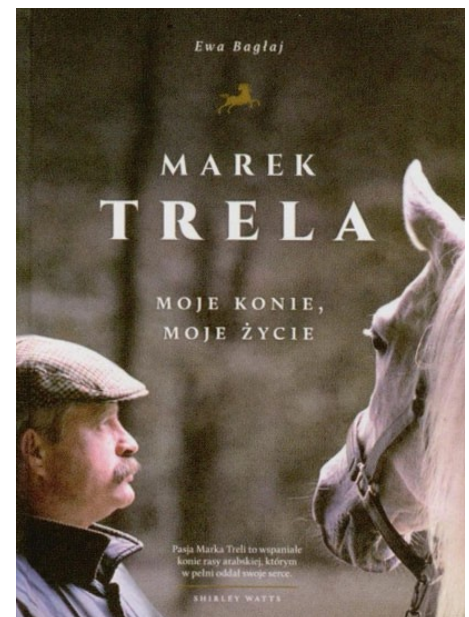
Natomiast jest jeszcze coś, do czego trzeba będzie wracać i o czym należy pomyśleć w przyszłości.

Profesor Witold Pruski 28 września 1937 roku wpisem do księgi pamiątkowej założył w Janowie Muzeum Konia. Z powodu wojny nie udało się go zorganizować.

Miałem w planach takie muzeum, jest tyle nagród i trofeów, z którymi nie wiadomo już, co robić. Chciałem, żeby taki nowoczesny ośrodek powstał w miejscu, gdzie stoi dom gościnny „Wygoda”.

To jest mój duży wyrzut sumienia, że do tej pory nie udało się tego zrobić. No i pewnie wyzwanie dla następców. Odchodząc, zostawiłem gotowy projekt takiego budynku ze wszelkimi uzgodnieniami, a przede wszystkim z akceptacją konserwatora zabytków.

Swą współczesną postać, zarówno stadnina, jak i wywodzące się z niej konie zawdzięczają człowiekowi, który przez pięćdziesiąt lat pracy nie opuścił ani jednego porannego obchodu - Andrzejowi Krzyształowiczowi, wielkiej charyzmatycznej osobowości, wspaniałemu hodowcy. Pytany o definicję sukcesu wyhodowanych przez siebie koni odpowiadał: „Trzeba czuć sprawę i być na miejscu”.



"Marek Trela. Moje konie, moje życie"
(2016) - Ewa Bagłaj